

Dobrowolna republika

29 kwietnia 2011

W 43. numerze „Najwyższego Czasu” w artykule „Prawo według Nozicka” p. Paweł Morga przedstawił teorię autorstwa wymienionego w tytule filozofa, zgodnie z którą jakoby „państwo może powstać i istnieć bez pogwałcenia niczych naturalnych uprawnień, (...) w wyniku działania „niewidzialnej ręki”, która jest mocą państwowotwórczą i dzięki której możliwe jest przezwyciężenie anarchii stanu natury bez jakiejkolwiek intencji powołania państwa”. Ponieważ prac akurat tego teoretyka libertarianizmu nie czytałem, trudno mi stwierdzić, czy opracowanie p. Morgi wiernie oddaje jego poglądy i nie jest dla mnie jasne, czy przedstawiony w tym opracowaniu schemat jest jedynie hipotetycznym modelem mającym pokazywać możliwość powstania państwa w taki sposób, czy też prof. Nozick rzeczywiście uważa, iż państwa rzeczywiście tak w historii ludzkości powstawały. Jeśli to drugie, to moim zdaniem jest oczywiste, że mija się on z prawdą – istnieją liczne dowody na to, że organizacje państwowe na rozmaitych terenach tworzyły się w wyniku narzucenia siłą władzy bądź to przez miejscowe grupy „silnych ludzi”, bądź też przez najeźdźców z zewnątrz, i władza ta bynajmniej nie przestrzegała „naturalnych uprawnień” rozumianych wedle wolnościowych standardów p. Nozicka. Natomiast jeśli przedstawiony w wymienionym artykule schemat ma być jedynie hipotetycznym modelem mającym dowodzić możliwości powstania państwa w zgodzie z wolnościowymi zasadami, to muszę powiedzieć, że moim zdaniem niczego takiego on nie dowodzi – przynajmniej w wersji przedstawionej przez p. Morgę.

Zgodnie z owym schematem, ludzie dla ochrony swych praw tworzą najpierw „towarzystwa wzajemnej ochrony”, z których jedno po pewnym czasie w drodze wolnej konkurencji zdobywa na danym terenie pozycję dominującą, a następnie pozostaje jako jedyne. Pozostające poza nim niezależne jednostki stopniowo same

przyłączają się doń, widząc w tym możliwość zapewnienia sobie lepszej ochrony. W ten sposób powstaje „państwo minimalne”.

Owszem, taki proces jest teoretycznie możliwy. Tylko, że dla mnie takie „państwo minimalne” (o ile dobrze zrozumiałem jego założenia) nie jest państwem! To po prostu dobrowolna organizacja, która, wbrew temu, co pisze p. Morga, nie ma monopolu na „uprawnione stosowanie przymusu na danym terytorium geograficznym”, a jedynie jest w danym momencie jedynym podmiotem, który taki „uprawniony przymus” na tym terytorium stosuje. Zajmuje podobną pozycję, jak np. jedyny piekarz lub sklepikarz w okolicy – taka sytuacja może się zdarzyć w warunkach najbardziej wolnego rynku i wówczas nie oznacza to jeszcze, że ów piekarz czy sklepikarz jest monopolistą, a tylko, że nie ma akurat zapotrzebowania na więcej lub potencjalnych konkurentów; ale sytuacja może się zmienić. Owszem, w praktyce organizacja ta stanowi prawo. Ale dopóki jest to prawo wolnościowe, to jest respektujące „naturalne uprawnienia”, dopóty jej członkowie mają swobodę wystąpienia, zrezygnowania z opłat na jej rzecz i założenia – na tym samym terenie – organizacji konkurencyjnej. Która to organizacja może w szybkim czasie stać się potężniejsza, a nawet zająć całkowicie miejsce dotychczasowej w zupełnie pokojowy i „rynkowy” sposób.

Chciałbym zwrócić uwagę, że tak rozumiane „państwo minimalne” nie musi być wcale minimalne w tym sensie, że nie musi ograniczać się wcale do funkcji wojskowo-policyjno-sądowych. Może zajmować się takimi dziedzinami, jak oświata, opieka zdrowotna, pomoc dla najbiedniejszych, czy nawet prowadzić działalność gospodarczą. W tym sensie może być „socjalistyczne”! Kto powiedział, że „towarzystwo ochrony” nie może zajmować się też czymś innym, czy też rozumieć „ochrony” we właśnie taki „socjalistyczny” sposób? Dopóki pozostaje ono dobrowolne, nie gwałci niczyich uprawnień, nawet jeśli zdobywa pozycję quasi-monopolisty. Tym, czym odróżnia taką organizację od istniejących dziś w rzeczywistości państw, jest właśnie

dobrowolność przynależności, a nie fakt ograniczenia do dziedziny usług z zakresu policji, armii i sądownictwa.

Z drugiej strony, jeśli „państwo minimalne” miałoby być rzeczywistym monopolistą, to musiałoby się to stać w wyniku pogwałcenia „naturalnych uprawnień”. Jeśli zabroniłoby swoim członkom występować lub też „niezależnym” egzekwować ich prawa (nie w konkretnych, jednostkowych przypadkach usprawiedliwionych udowodnionymi „ryzykownymi i niebezpiecznymi” działaniami, ale generalnie), to tym samym te prawa zostałyby pogwałcone. Owszem, jest to możliwe, ale wówczas opisany schemat bynajmniej nie dowodzi możliwości powstania państwa bez pogwałcenia tych praw, w wyniku działania „niewidzialnej ręki”.

Reasumując: wedle opisanego powyżej schematu może powstać jedynie dobrowolna organizacja opisana dwa akapity wyżej – którą z braku lepszego określenia można nazywać „państwem” (choć moim zdaniem bardziej pasowałaby tu nazwa „dobrowolna rzeczpospolita”), ale która się w zasadniczy sposób różni od realnie istniejących państw (mniej więcej tak, jak firma działająca na wolnym rynku od firmy działającej w oparciu o przymusowy monopol), natomiast prawdziwe państwo, mające monopol na „uprawnione” (najczęściej zresztą również nieuprawnione) „stosowanie przymusu na danym terytorium” i utrzymujące się z przymusowego haraczu, może powstać jedynie w wyniku pogwałcenia naturalnych praw w rozumieniu Nozicka – i tak w rzeczywistości państwa powstawały.

Wracając do wspomnianej dobrowolnej rzeczpospolitej: istnieje możliwość przekształcenia w coś takiego obecnego państwa i nie wymaga to wcale długiego i skomplikowanego procesu reform (w każdym razie organizacyjnych). Wystarczyłoby, żeby podatki zmienić w opłaty za prawo do obywatelstwa (lub – w radykalniejszej wersji – za prawo do korzystania z tych czy innych usług państwa) i zaprzestać karania „przestępstw bez ofiar” – w każdym razie w stosunku do nie-obywateli, obywatelom zaś przynajmniej umożliwić za naruszanie takich

reguł wybór: dobrowolne poddanie się karze lub utrata obywatelstwa. Odtąd niezadowoleni z funkcjonowania takiej dobrowolnej Rzeczypospolitej mogliby z niego występować i tworzyć alternatywne organizacje zajmujące się tak ochroną, jak i pomocą socjalną (jeśli tego chcieli). Ba, mogłyby występować całe wielkie grupy – gminy, miasta, regiony, a także społeczności ponadterytorialne, takie jak tradycjoniści katoliccy, świadkowie Jehowy, punki czy zwolennicy idei Ayn Rand. A w każdym razie istniałaby taka możliwość i rządzący ową dobrowolną Rzeczpospolitą musieliby brać to pod uwagę. Znaleźliby się w sytuacji właścicieli i zarządców prywatnych korporacji działających na rynku i muszących liczyć się z niezadowoleniem konsumentów ich dóbr i usług. Socjaldemokraci i konserwatywni liberałowie (na przykład) nadal mogliby spierać się o zakres działalności tej dobrowolnej Rzeczypospolitej, wysokość obowiązujących w niej podatków (będących jednak już dobrowolnymi opłatami za jej usługi) czy sposób zarządzania nią. Jednak niezależnie od tego, które stronnictwo zdobyłoby wpływ na rządy, decyzje zarządzających nią polityków musiałyby być w miarę upływu czasu (i powstawania konkurencji) w coraz większym stopniu określone przez rynek, a nie przez ideologiczne sympatie. A to oznaczałoby mniejszą tolerancję dla korupcji, biurokracji i niekompetencji. Być może ostatecznie efektem byłaby „dobrowolna Rzeczpospolita socjalna” – superkorporacja oferująca (po rynkowej cenie!) wysokiej jakości usługi nie tylko z zakresu policyjno-wojskowej ochrony i wymiaru sprawiedliwości, ale także np. opieki społecznej, zdrowotnej czy oświaty (byłby to wówczas ideał zarówno dla zwolenników wolnego rynku, jak i dla zwolenników „welfare”). Być może przeciwnie – okazałoby się eksperymentalnie, że taki twór nie potrafi na rynku sprawnie funkcjonować i dobrowolna Rzeczpospolita ograniczyłaby się w końcu jedynie do dziedzin obrony i polityki zagranicznej, policję i sądownictwo przejęłyby generalnie np. dobrowolne gminy, a funkcje socjalne – ponadterytorialne stowarzyszenia w rodzaju kas chorych (nie mylić z istniejącymi obecnie biurokratycznymi potworkami o tej

nazwie), towarzystw oświatowych, kościołów, towarzystw ubezpieczeń wzajemnych i innych tzw. NGO-sów. Ale i wówczas zwolennicy „welfare” nie powinni protestować, ponieważ oznaczałoby to, że „masy” po prostu wybrały ten rodzaj instytucji, który lepiej zaspokaja ich „socjalne” potrzeby. A jeśli komuś model wybrany przez większość by nie odpowiadał, to tak czy inaczej miałby możliwość zorganizowania i wyboru czegoś innego – w każdym razie większą niż obecnie.

Myślę, że propagowanie idei przekształcenia obecnego państwa w taką dobrowolną republikę jest czymś, nad czym powinni się zastanowić polscy wolnościowcy. Idea ta jest bowiem w pewnym sensie rozwiązaniem politycznej „kwadratury koła”: oferuje zniesienie monopolu państwa i rynkową kontrolę jego kierowników bez likwidacji (w każdym razie natychmiastowej) instytucji zapewniających uczestnictwo w przywilejach socjalnych świadczonych obecnie przez państwo. Dlatego moim zdaniem może ją potencjalnie poprzeć o wiele szerszy krąg ludzi, niż tradycyjne postulaty konserwatywnych liberałów czy „anarchokapitalistów”. Sądzę, że „ruch na rzecz dobrowolnej republiki”, skupiony wokół postulatu „udobrowolnienia” państwa i poddania polityków rynkowej kontroli, odżegnujący się od tradycyjnych podziałów na „lewicę”, „centrum” i „prawicę” mógłby zdobyć wielu zwolenników spośród dotychczasowego elektoratu partii panującego porządku – od AWS po SLD – a także przyciągnąć wielu „antysystemowych” radykałów oraz ludzi generalnie zrażonych do „władzy” i chcących jedynie, by zostawiła ona ich w spokoju. Wolnościowcy różnych odcieni, łączcie się!

Autor: Jacek Sierpiński

Źródło: „Gazeta An Arché” nr 60 z 1999 r. i [Libertarianizm](#)
Artykuł ukazał się także w piśmie „Najwyższy Czas!” z 13-20.11.1999 r.